

Melchior Wańkowicz
TĘDY I OWĘDY



pełne wydanie bez skrótów

Melchior Wańkowicz
Tędy i owędy

Wstęp:
Katarzyna Ćwičkała

Redakcja i korekta:
Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

Ilustracje:
Shutterstock: alexandre zweiger, Eduards Normaaals, Macrovector,
Natykach Nataliia, Olena Zhdanovskykh, oriol san julian,
Słavoljub Pantelic, Vector Tradition SM

ISBN 978-83-7517-874-6

© Copyright by Rodzina Melchiora Wańkowicza

2021

Wydawnictwo GREG®
ul. Klasztorna 2B
31-979 Kraków
tel. (12) 680 15 50
www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Layout i okładka:
Aleksandra Zimoch

Ilustracja na okładce:
Shutterstock / Ollyy

Skład:
Pracownia Register

TYTUŁEM WSTĘPU

Tędy i owędy, zbiór gawęd wspomnieniowych autorstwa Melchiora Wańkowicza, wydany w 1961 r., to utwór, który pozwala zrozumieć, dlaczego autor nazywany jest często „mistrzem krótkiej formy literackiej”. Czytelnik od pierwszych chwil wciągany jest w barwny, pełen fantazji i niespodzianek świat dwudziestolecia międzywojennego oraz lat powojennych, przedstawiany przez autora z humorem, żartobliwie, czasem krytycznie, ale też z sentymentem, a nawet nostalgią. Każdy rozdział skrzy się dowcipem, a także stanowi dowód na prawdziwe mistrzostwo literackie w sposobie operowania żywym tworzywem, jakie stanowi język polski. Warto dowiedzieć się więcej o tej książce i o jej autorze, aby w pełni docenić jej walory.



Fot.: 1950, Władysław Miernicki – Narodowe Archiwum Cyfrowe, Sygnatura: 20-112

MELCHIOR WAŃKOWICZ – ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ

Melchior Wańkowicz urodził się 10 stycznia 1892 roku w Kalużycach (na terenie dzisiejszej Białorusi) jako najmłodszy z czwórki rodzeństwa. Jego rodzice bardzo szybko zmarli i wychowywała go babcia. Był publicystą i prozaikiem. Ukończył studia prawnicze. Jako publicysta debiutował w latach 1905–1907, kiedy udzielał się

wały ryzykowne, a figle z młodości przekraczały ramy dobrego wychowania i dobrego smaku. Czasem posuwał się do kłamstw, aby osiągnąć swój cel, tak jak w przypadku matury z matematyki. W latach szkolnych uchodził za lenia, który zamiast się uczyć, swą energię zużywał na robienie żartów z nauczycieli. Nazywani przez nich zakałą, był jednak przez nich lubiany.

Jak każdy twórca lubi być doceniany, z dumą przytacza słowa czytelnika, że jest lepszy od Mickiewicza, czy też to, że nazywa się go wieszczem. Sprawia mimo to wrażenie człowieka mającego dystans do siebie. Śmieje się, gdy przedstawiają go jako Lechonia czy Wierzyńskiego, ale bulwersuje i oburza go to, że zapominają jego imienia.

Jest pewny siebie, bywa prowokatorem różnych sytuacji. Nie lubi nieszczerości. W ostatnich rozdziałach poznajemy Wańkowicza jako czulego i troskliwego dziadka. To u niego chora Ewa szuka pociechy w chorobie. Wańkowicz to dziadek, który wprowadza zasady w życie rodziny, na przykład taką, że do mieszkania dziadków nie można dzwonić. Dziadek drażni dzieci, szczypie je, ryczy jak lew, strasząc, aby po chwili opowiadać swym wnuczkom przepiękne historie, dzięki którym wszystkie wcześniejsze winy są mu wybaczone.

Należy jednak pamiętać o tym, że czytając dzieło literackie, nie można całkowicie utożsamiać jego autora z narratorem, nawet jeśli mamy ku temu wszelkie przesłanki. Postać narratora, nawet pozornie tożsama z autorem, zawsze jest w pewnym stopniu kreacją autorską. Tak też dzieje się w tym przypadku. Melchior Wańkowicz prezentuje świat z przymrużeniem oka – i siebie samego również. Wańkowicz-narrator to lekko-duch, czasem leń, dowcipniś i kombinator; jest to jednak celowy zabieg pisarza, który służy uwiarygodnieniu książki, zainteresowaniu czytelnika i zaciekawieniu go. Autor jest przecież twórcą znanym i poważanym, wydawcą i specem od reklamy, szanowanym w środowisku literackim w Polsce i za granicą, nie można więc traktować sposobu kreacji narratora dosłownie i na jej podstawie budować pełnego wizerunku autora.

TĘDY I OWĘDY PRZEZ MIEJSCA I CZASY

Meandry wspomnień autora prowadzą nieraz krętymi ścieżkami, narrator porzuca swe opowieści, wtrąca dygresje, czyni aluzje i nawiązania, co może stanowić pewną trudność w pełnym odbiorze książki. Jednak po dokładniejszej analizie opisywane wydarzenia układają się w pewną całość, mającą odzwierciedlenie w biografii Wańkowicza.

MOZOLNĄ ŚCIEŻKĄ WIEDZY

Wagary

Wańkowicz wspomina **przyjazd do Warszawy na egzaminy wstępne do drugiej klasy (około roku 1900)**. Bardzo się ich boi, jedynym miłym wspomnieniem z tego wydarzenia jest smak babki śmietankowej, która na długo pozostaje w jego pamięci. Chłopak rośnie, zmieniają się jego upodobania kulinarne – kupuje skórkę panięńską, makagigi, które wypierają chałwa i lody – to smaki jego dzieciństwa, które wspomina z nostalgią. Z czasem zaczyna interesować się płcią przeciwną. Wspomina pensjonat pani Rudzkiej – **wzdychał do młodych pensjonariuszek. Przypomina o ceremoniale**



spacerów i ukłonów, jakie sobie wzajemnie czynili. Ten fragment, a także wspomnienia o wieczorkach tanecznych i spotkaniach z dziewczętami na lodowisku, jasno pokazuje czytelnikowi, że w tamtych czasach relacje między młodymi ludźmi były zupełnie inne niż dziś, obowiązywały bardzo surowe reguły towarzyskie, a nad spotkaniami zawsze czuwali dorośli. W rozdziale tym znajdziemy także informacje o stroju, jaki musieli nosić uczniowie gimnazjum Chrzanowskiego. Był to czarny mundur z niebieskimi mankietami i kołnierzem ozdobionym srebrnymi galonami, zapinany z przodu na dziewięć srebrnych guzików. Z tyłu miał kieszenie surdutowe obramowane niebieską naszywką. Po strajku uczniowie nie musieli już nosić mundurów rosyjskich, mogli ubierać się w typowe stroje szkolne (niektórzy starali się wyglądać modniej i nowocześniej, dodając np. pas na kurtce albo wykręcając denka czapek). Szkoła uzyskała również możliwość prowadzenia lekcji w języku polskim.

Z rozdziału dowiadujemy się, kim byli „bikiniarze” (buntownicza młodzież niezgadająca się na narzucane normy i zwyczaje; określenie pochodzi z lat 50.). Wspomina również, że w starszych klasach odbywały się wieczorki taneczne, z którymi wiązały się ogromne emocje. Czas gimnazjum to lata platonicznych miłości. W klasie trzeciej wdychał do piątoklasistki, która zamieszkiwała w tej samej kamienicy, co on. Emocje studziły sport i wycieczki na plaże warszawskie nad Wisłą. W opowieści pojawiają się informacje o pierwszym radiu, samolocie, o jeździe elektrycznym tramwajem. Czytamy o żartach, jakie wraz z kolegami robił młody Wańkiewicz, dzwoniąc na przykład w środku nocy do dyrektora szkoły, do Korpusu Kadeckiego czy do pana Łabędzia z pytaniem, czy jego żona zniosła już jajko.

Po latach autor został naczelnikiem Wydziału Prasowo-Widowskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i cenzurował filmy. Okazało się, że pracuje tam pani Łabędź, która była zachwycona, że naczelnik zna jej adres, nie wiedząc oczywiście, że zna go dlatego, że przed laty to on był autorem głupich dowcipów o składaniu jajka.

Od ściągaczki do belferki

Z rozdziału dowiadujemy się o tym, że Wańkiewicz został profesorem (nauczycielem) – uczył historii w starszych klasach na pensji pani Kurmanowej. Było to zaledwie trzy lata po maturze i skończeniu Szkoły Nauk Politycznych. Bardzo obawiał się pierwszej lekcji i swoich uczennic, dlatego był dla nich niezwykle srogi, wprowadził ćwiczenia pisemne z historii – 60% klasy na pierwszy semestr miało dwóje.

Przypomina sobie przy tej okazji, jaką męką było siedzenie na lekcji i jakie żarty robili podczas przerw. Szkoła była inna niż współczesna – obowiązywała surowa dyscyplina, za przewinienia dostawało się kary (m.in. zostawanie w szkole po lekcjach), jednym z przedmiotów lekcyjnych była łacina, istniały osobne szkoły dla chłopców i dla dziewcząt. Młodsze roczniki uczniów szanowały starszych kolegów, słuchały ich poleceń i opinii. Wspomina o niewłaściwym zachowaniu, z jakiego słynął on i jego koledzy podczas lekcji. Gęgali, miauczeli, meczeli, Melchior sześciokrotnie był w „karcerze” (godzina przetrzymania po lekcjach) za rozmawianie po polsku. Dowiadujemy się także o strajku w Gimnazjum Chrzanowskiego przy ul. Smolnej, podczas którego klasy piąte wyrzucały przez okna dzienniczki. Efektem strajku było to, że w szkołach średnich językiem wykładowym był język polski (wcześniej lekcje odbywały się po rosyjsku).

Polska Rzeczpospolita Ludowa

Kiedy Wańkowicz wraca do Polski, znajduje się ona w strefie wpływów Związku Radzieckiego i jest państwem komunistycznym. Autor portretuje kolejny nieistniejący już świat, którego realia mogą dziwić i zaskakiwać współczesnego młodego czytelnika. Rzeczywistość PRL-owskiej kamienicy to ciemna klatka schodowa, z której znika dopiero co wkręcona żarówka, gdzie utyka się w windzie, bo ktoś specjalnie powoduje spięcie. To świat niekończącej się ilości „fachowców”, którzy nie są w stanie naprawić wybuchającego piecyka gazowego i trzeba kąpać się u rodziny, ale rzecz jasna za nieudane próby też należy im zapłacić. To w końcu świat pana Zygmusia – pana „zrobi się” – miejscowego cwaniaczka, któremu powierza się samochód, aby dołał oleju, a ten wraca po kilku dniach bez oryginalnych części, z dużą ilością przejechanych kilometrów na liczniku i bez oleju. W tym świecie najprostsze sprawy potrafią urosnąć do rangi niemożliwych do rozwiązania, niezbędne są znajomości i ogromne pokłady cierpliwości. A przy tym jest to też rzeczywistość bliskich relacji międzyludzkich, w których ludzie ufają sobie wzajemnie i troszczą o siebie – Wańkowicz zajmuje się dziećmi z całej kamienicy, opiekuje się nimi, wychowuje, w pewien sposób czuje się za nie odpowiedzialny, a one szanują go i słuchają.

Wszystkie historie wywołują refleksje, czasem tęsknotę za tym, co minione, ale przede wszystkim rozbawienie. To książka, przy której trudno się nudzić. Opisane w niej wydarzenia nie zawsze są prawdziwe, bywa, że to kompilacje różnych zdarzeń. Autor, opisując jednego bohatera, łączył wydarzenia, które miały miejsce w życiorysach różnych osób. Dzięki temu zyskujemy barwną opowieść o świecie, ludziach, których już nie ma, a których łączy postać głównego bohatera. *Tędy i owędy* to barwny obraz nieznanego współczesnemu czytelnikowi świata, ukazanego przez pryzmat osobistych doświadczeń i przeżyć autora, ale też wielu anegdot, obrazków rodzajowych, dowcipnych dygresji i żartów; obraz świata prawdziwego, ale przedstawionego po części w krzywym zwierciadle humoru i ironii, które powoduje wyolbrzymienie niektórych elementów, a pomniejszenie znaczenia innych. Ten właśnie rodzaj kreacji świata przedstawionego – subiektywny, osobisty, często nie do końca poważny – decyduje o wyjątkowości książki i sprawia, że jej lektura dostarcza niezapomnianych wrażeń.



– Żelazo rozpalone nierozpalonym końcem wsadzić ci tamże...
 – Czemu nierozpalonym? – zainteresował się fachowo.
 – Żeby za tamten rozpalony nikt nie mógł wziąć i wyjąć. Szyszkę grubym końcem naprzód tam ci wepchnąć i pomalutku wyjmować i trzy razy przekręcić, abys ty począł pojmować, jakiś ty sukinsyn... twoja mać.

Naturalnie było to wyrażone dobitniej i w niepowtarzalnej kadencji. Dorozkarz nabożnie zdjął czapkę z głowy i powiada z wylaniem:

– *Sadis', barin. Darom powiezu!* (Niech jaśnie pan siada. Darmo zawiozę). Zdałem więc w Moskwie przynajmniej maturę z przekleństw.

„STUDIA” W ALMA MATER

Była taka baraniarka* z Kresów – cudo. Durna była ta Alusia (imię zmieniam), ależ i za to jedna z trzech najfajniejszych wytypowanych piękności akademickich. Kiedyś jej kresowa mama przyjechała z faską⁵⁷ miodu, kumpiami⁵⁸ i konfiturami zobaczyć, jak się ta Alusia sprawuje. Alusia jednak za głupia była, żeby się źle sprawiać. Pojechaliśmy na Wawel i Alusia pyta, co to za rzeka płynie.

– Ależ, Alusiu, nie wiesz, że Wawel nad Wisłą zbudowany?

– No, wiem, że nad rzeką – broni się – ale żeby koniecznie nad Wisłą...

Tenisowaliśmy z Alusią zawzięcie. Wybrała się na rozgrywki w czarnym *des-sous*⁵⁹ pod białą wełnianą sukienką i trybuny krzyczały: „jedenastka!” (bo zawodnicy mieli numery).

Alusia, rozgoryczona, że nie broniliśmy jej przed galerią, oświadczyła, „nie jest żadna znajomości” z nami. Dziewczę lubiło czasem zniecka wyrazić się górnolotnie. Podchwyciliśmy na języki, że Alusia jest „nierządna”.



* Słuchaczka Kursów Baranieckiego w Krakowie. (dop. aut.)

⁵⁷ *Faska* – mała beczka.

⁵⁸ *Kumpia* – rodzaj szynki wieprzowej.

⁵⁹ *Dessous* – (franc.) bielizna.

Spłoszona żona jakimś zabiegiem przerwała tę filipikę²⁸⁸. W środku rozmowy byłem niezadowolony z takiej dywersji. Teraz była w sam raz. Teraz kończyła się psychoanaliza. Teraz należy zdjąć operowanego ze stołu i resztę zostawić organizmowi.

Tak się złożyło, że pojechaliśmy razem z Heniem, każdy w swoich sprawach, do Ankony, gdzie rezydował sztab korpusu. Zbliżyłem się z nim celowo, może łatwiej da przystęp do siebie. Chociaż nie on tu był ważny, tylko zoperowana Ela, pozostająca w Rzymie w delikatnych rękach mojej żony.

Wówczas przeszliśmy z nim na „ty”. Szanowałem go za stosunek do żony, za znawstwo sztuki, z którego korzystałem, gdyśmy zwiedzali Rzym, za odwagę: to on, dowodząc grupą saperów, kiedy czołgi nie mogły przejść zaminiowanej gardzieli, a każdy saper, wysuwający się dla rozminowania przed czołgi, był rażony z broni maszynowej – kazał saperom skryć się w terenie, wlaź pod czołg, który posuwał się wolno nad pełznącym, wyciągał rękę z saperskim szpikulcem i wydłubywał miny talerzowe.

Na ogół nie przechodzę z ludźmi na „ty”. Ale, co tu gadać, nie tyle tu zaważyły zalety Henia, ile moje pasje profesjonalne.

Kiedyśmy wrócili, okazało się, że nasze kobiety zaprzyjaźniły się, że wodą nie rozlej. Ela mówiła do żony „mamusiu” – słodkie słowo, którego nie dane jej było w życiu wymawiać. Moja pani wyżywała się, mając namiastkę tej nieosiągalnej amerykańskiej córki i najwidoczniej nie szczędziła jej „smrodku dydaktycznego”.

W parę dni potem, siedząc w hallu Massimo d’Azeglio, hotelu zarezerwowanego dla wojskowych Polaków, rozważaliśmy, gdzie by tu wyjechać na weekend.

– Może wykąpiemy się w Ostii – zaproponował Henryk, zerkając niepewnie na żonę.

– No, naturalnie pani powie, że lepiej do Castel Gandolfo – szepnąłem do niej.

Ale z Elą stał się cud. Objęła męża. – Jak ty zawsze coś ładnego wymyślisz. Jakże się cieszę. Jakaż tam śliczna plaża.

Kiedy tak lgnęła do męża, spomiędzy rozrzuconych włosów wyjrzało ku mnie porozumiewawcze oko.

²⁸⁸ *Filipika* – ostra, gwałtowna mowa na jakiś temat, zwykle oskarżająca kogoś o coś.

KTO BY TO WIDZIOŁ?... W AMERYKAŃSKI ZIEMI?...

Pół *Ziela na kraterze* to z opowiadań żony,
którą „kwitowałem z konceptu” w myśl Wacława Potockiego:

*Kwituje mąż z konceptu, choć się żenie zdarza,
Dosyć ma, że nie szuka w domu kałammarza,
Cnotliwa, trzeźwa żona...
Choć sama nie pisze, dość, że nie przeszkadza,
Nie klóci, nie hałasi, mężowi dogadza.*

Nagle – „poszukała kałammarza” z winy czytelników
Ziela na kraterze, zarzucających pytaniami – co dalej?
Napisaliśmy więc tę część książki na wspólnie
(oby tylko teraz nie zaczęła „hałasować”).

MÓJ „PRZYLACIEL” I KOLEGA

(opowiada babunia)

Las stał w białoróżowych bukietach rododendronów i w dywanach mchów.
– Naziwa się po polsku: mech – małe łapki przesunęły się przez prześwie-
tlone popołudniowym słońcem wszystkie odcienie mchowych zieleni aż po głę-
boki brąz.

Daleko zaszła polszczyzna Ewy od tej mroźnej zimy 1949 roku, kiedy przy-
jechaliśmy do USA. Las wkoło naszego farmerskiego domku tonął w głębo-
kich śniegach. Odkopywaliśmy co rano łopatami ze śniegu dom jako pierwsze
przeszkolenie amerykańskie: *do it yourself* (zrób to sam), jak wszyscy naokoło.

Ewa miała wtedy półtora roku i gdy zobaczyłam ją w kapturku i płaszczyku
barszczowego koloru, który donaszała po dzieciach amerykańskich sąsiadów,
nie mówiła jeszcze żadnym językiem. Popatrzyła na mnie dropiato-szarymi
oczkami i podniosła obie rączki w jednopalczastych rękawiczkach, dając wy-
raźnie do zrozumienia, że wcale, ale to wcale nie ma ochoty na *self-help* (sa-
modzielną) podróż wśród śniegów do domu. Trzyletnia Ania przepedałowała
koło nas na dzieciennym rowerze z okrzykiem: „Hi!” i zniknęła za zakrętem.

Wzięłam Ewę na ręce i tak rozpoczęła się gorąca przyjaźń moich amery-
kańskich lat.

Ale daleko przed tym czasem – są. Jeden po drugim uciekli.

Są bardzo dumni. Cóż mam innego robić, jak cieszyć się, że zwiali. Umoralniać, że nieładnie przekradać się przez dziurę w płocie? Z czym do gościa, paniusiu? – Przecież to sztuka życia ich rodzin, ich otoczenia. Należałoby wpieryw zmienić kilka innych rzeczy, a już potem prawić morały.

– Ale Czesiek najmorowszy – mówię – pierwszy wywiął.

Pogardliwe skrzywienie.

– Iiii tam... Prosił się, darł się, to go puścili. Taki – żebrak...

Widać – nie każdy sposób jest dobry.

Kiedyś zastałem całą drużynę na podwórku, dyskutującą zalety piłki „łatówki” a piłki „węgiek”. Pogadaliśmy sobie i dowiedziałem się, że właśnie o kilkaset kroków jest cyrk „Humberto”.

Zatelefonowałem do inżyniera Gorzkowskiego, ale – proszę sobie wyobrazić – i ten został wysłany za granicę!...

Żona moja z grobową miną oświadczyła, że mięsa nie ma.

– Ale inżynierowie co do jednego za granicę jadą.

Nie mogła zrozumieć, czemu mi tak wesoło. Bo co to ma wspólnego z brakiem mięsa? No, trzeba było coś radzić bez inżyniera Gorzkowskiego. Na drugi dzień zamiast oglądania obrazków zaproponowałem krótki mityng na temat pójścia do cyrku, który im zafunduję.

Przyjęto propozycję bez wybuchów radości, rzeczowo. Ustaliliśmy dzień. Ustaliliśmy, kogo jeszcze dokooptujemy³³⁷ poza drużyną. Maleńtasów postanowiliśmy nie brać. Miało się im tłumaczyć, że w cyrku jest wielka małpa, która zje z punktu każde dziecko niemające ośmiu lat.

Stanął na tym, że do cyrku ruszymy w dwudziestu trzech dryblasów do lat dwunastu plus pan Wańkowic, plus pani Wańkowicowa. Oni mieli pójść na czterdzieści minut przedtem, zając miejsca, bo galeria była nienumerowana.

Obserwowałem z okna zbiórkę i wymarsz. Oko mi zbiełało, kiedy ujrzałem tak tych chłopców po raz pierwszy w granatowych ubrankach, jakie mieli pono do komunii, przylizanych, wypucowanych. Dwunastoletni kapitan drużyny odesłał dwu do domów, żeby się lepiej przyogarnęli. Pomyślałem z przyjemnością, że te dzieci z podwórka są wychowane, że górują pod tym względem nad amerykańskimi rówieśnikami.

Pod cyrkiem czekało nas dwu łączników, którzy zaprowadzili nas na miejsce zarezerwowane w samym środku. Wszyscy cmoktali lody. Zaproponowali i nam. Uchyliłem się i żałowałem potem: niechby fundnęli; widziałem, jak się

³³⁷ *Dokooptować* – dobrać, dołączyć.



składali po pięćdziesiąt groszy na napompowanie i napastowanie piłki; niechby się złożyli i dla nas na lody.

Ciekawe, jak dziecko patrzy. Już niemowlak, który nastawia wzrok – pracuje. Ile razy wyjrzę ze swego piątego piętra, widzę tylko ruchy schematyczne, sylwetkowe, nie słyszę sensu zabawy. Te ruchy są setki razy powtarzane, ten sam skok, zeskok, przebieg, wspięcie się. Nieustanne, mozolne, pracowite, benedyktyńskie ćwiczenie³³⁸ ciała, przygotowywanego do życia. Ich dziecinne spory, kiedy za mymi plecami kotłują się w wozie, to ciągle przymierzanie siebie do tego życia – „a ja potrafię to”, „a ja to nawet potrafię”...

Teraz w cyrku, numer przyjmowany z największym skupieniem to rodzina akrobatów: ojciec, matka, kilkunastoletni dwaj chłopcy i dziewczynka. Za tym najmłodszym idzie uważne, przymierzające się spojrzenie dwudziestu par oczu. Właśnie skoczył z trapezu w podwójnym salto mortale.

– Oj, nieboraki – przekomarzam się – gdzieżbyście tak potrafili!

Odpowiadają mi:

– On ma czternaście lat.

To znaczy, że każdy z nich ma jeszcze najmniej dwa lata na dogonienie. Matki będą miały jutro utrapiony dzień.

Do ewolucji miesza się kłown, który okazuje się akrobatą.

³³⁸ *Benedyktyńskie ćwiczenie* – tutaj w znaczeniu: powtarzalne w takiej samej formie; mnisi z zakonu benedyktyńskiego mieli przydzielone obowiązki, które wykonywali całymi latami codziennie w identyczny sposób.

SPIS TREŚCI

Tytułem wstępu	5
Melchior Wańkowicz – życie i twórczość	5
Wiele dróg w jednym tytule.	6
Portret autora z historią w tle	7
Tędy i owędy przez miejsca i czasy.	8
Wańkowicz – gawędziarz	20
Światy, których już nie ma	20
Tędy i owędy	23
Mozolną ścieżką wiedzy	25
Wagary	25
Od ściągaczki do belferki	34
Szyfrowe matury	44
„Studia” w Alma Mater	61
Zielone róże	70
Zgłębianie prawa	77
W ta pora...	82
Facecje... gorzkawe	82
Nalewki i kołduny	100
Pan Pisanka sprzedaje las	123
Pojedynek Protasewicza z Jeśmanem.	130
Perypetie	135
Rad starat’sia!...	135
Flirty z medycyną	151
Gazeciarskie poty i psoty	159
Pogaduszki prasowe.	159
Mityczny dr J.P. Zajączkowski.	168
Wykrywam zamachowca	173
Biegi z przeszkodami	182
Tirliperek w opałach	192

Podróże kształcą	202
Poliglotyzm	202
Luksusowa ciupa	205
Na ciepłych morzach	217
Turyści generała Sikorskiego	235
Turyści generała Sikorskiego	235
Zielone ptaszki	251
Drapacz nieba w stylu zakopiańskim	261
Spotkania z czytelnikami	264
Cztery litery	274
O kompleksach – tylko ułamkowo	281
Psychoanaliza – po amatorsku...	281
Kto by to widział?... W amerykański ziemi?...	289
Mój „przyłaciel” i kolega	289
Santa „Klaś”	294
„Something special”	299
O „Piaściu” i o piasku	306
Między babunią i telewizją	310
Babunia – w ślady królowej Jadwigi	317
Nasza kamienica	322



ISBN 978-83-7517-874-6



9 788375 178746 >

Wydawnictwo GREG® 31-979 Kraków, ul. Klasztorna 2B,
księgarnia internetowa: www.greg.pl